Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 33. POZNAŃ, DNIA 19. SIERPNIA. 1843.

PAN ZELMAN.

(Z podań i zabaw gminnych Czerwonéj Rusi.)

Na pagórku wśród włości zebrała się gromada, przed cerkwią w dolinie zajechało kilkanaście półkoszków, a na ziemi po zielonéj murawie siedzą w koło gospodynie, mołodyce i dziewki, przed rzędem niecek, koszów, kobieli i mis wielkich glinianych, ciastem, mięsiwem lub omastą ponapełnianych. Przed każdą leży na wierzchu mniéj więcéj spory prosiak z chrzanowym wałkiem w zębach, owinięty kręgami kiełbas, obłożony kupą jaj całych, pierogów, knyszy, placków i krajanek. Obok gomułki masła i sera, praśny miód w plastrach, owoce suszone i orzechy — daléj butelki z horyłką arędarską lub korzeniami i miodem zaprawioną umiejętnie w domu. Wszędzie zielone gałązki barwinku powiewają jak godła nadziei i radości — jest to święto roskosznéj Wielkiéjnocy, ów dzień, przez wygłodniałe żołądki z szczególniejszém utęsknieniem oczekiwany, dzień wesela religii, i przyrody wyzwalającéj się z więzów zimy pod ciepłém wiosny słońcem.

Opodal po błoniu igrają wesołe pacholęta, to śpiewu okrzykiem, to skoki, dużaniem się za ręce albo za łby, to gonitwą i śmiechem, — inni biją w palcaty. Szczęśliwi! oni jeszcze nie znają, jaki ich czeka ciężar życia, i cieszą się i śmieją, chociaż ojce i matki upadają pod nędzą i niedolą, co żelaznym obręczem uciska i nachyla im karki przed stopami nieludzkich panów!

Wszyscy co chwila spoglądają tęskliwie na drogę, która smugiem piaszczystym przewija się po wzgórzu — bo tą drogą z miasteczka ma powracać z jarmarku pan Zelman, arędarz i dzierzawca kluczy cerkiewnych. *)

— Kume każe, z hołodu czełowik zhine pered cerkwoju bożyju — oj bida, bida! szczoby my sie nie rodili na świt, i naszy dity!

— I Boh nas skarał, ale za szczo, ja ne znaju. A te Lachy skurczybyki panowie szlachta, to i duszy nemajut, robiti z nami to srohie utrapienie... oj Zelman, Zelman, psia wira, newirnyj czort! jemu worota bożeho domu arędowti! Ej bateńku, to i mnoho; taż naszyje płeczi kripki, i ruki i hołowa, daléj! wyważyti furtu cerkownu, a sich sobaków na sucho derewi za nohi powiszajem, tolko powernut z cyhanki!

— Ne łża każe, pane kume — znajete, szczo i pip ne choczet pokropiti naszu paschu, aż Zelman powerne, a podstarosti sobaka oberwaneć, i nas i naszyje żinki na śmert'by pomuczyw.

— Toż nam raz umerati! — odpowiedział Wasylek, rzucając na ziemię swoją czapkę i szarpiąc z gwałtownością włosy na własnéj głowie.

Blisko ztąd stało grono dziewcząt rumianych z rucianemi wiankami i wstęgami we włosach; czysto biało przybranych. I chodziły jedna od drugiéj do drugiéj — jedna chichy stroiła, druga dumki śpiewała, inna wzdycha bo głodna, a może mołodca przypomniała, może chce z nim pomówić, podroczyć się z kochanym, albo schadzki wieczornéj wygląda.

Na boku pod płotem o kilka kroków od nich, stała samotnie czarnobrewa Pałasia, najpiękniejsza na całe sioło krasawica. Kibić smukła i giętka, lekka, zręcznie w białe ujęta rańtuchy i szytą włóczkami odzież, wabiła oczy a ręce do uścisku. Włosy jéj krucze w długich gładziutkich puklach spadając na ramiona, otaczały w dwa łuki swieżéj i delikatnéj białości czoło, — usteczka niezbyt wązkie, lecz jakby umyślnie do pocałunku utworzone,

*) Tradycya o wydzierżawianiu kluczy cerkiewnych, ma prawdę historyczną. Nie sądzimy, iżby nas kto posądził o nieprzychylność ku któremukolwiek obrządkowi, — w rzeczach, które wolnéj każdego woli zostawione być winny. — Przytoczone śpiewy ludu, po rusku początkowo zapewne, z rozpowszechnieniem się w pobliskich ruskim osadom wioskach, spolszczone zostały, i tak są u nas przywiedzione.

nos piękny mało-ruski, wejrzenie z jakąś mocą, iskrą ognia, leciutkim słodyczy i pokoju otoczone obłoczkiem, nadawały jéj twarzy szczególny, nieméj ponęty wyraz, wyraz łagodności, dobroci.

— Dobryj deń duszko, dobroje południe Pałasiu; i ty dumajesz neboże... oj dumaj, dumaj, bo Boh znajet szczo nam pryjde zrobiti z toju bidoju — rzekł do niéj Wasil, przechodząc mimo. Pałasia zadrżała na tę mowę, a i widok Wasilka przeraził ją niemało. Nigdy on jeszcze nie był tak zimny, tak dziko i strasznie nie poglądał, i ni razu jeszcze koło niéj nie przeszedł, żeby nie stanąć, nie pogadać, pośmiać się, poswywolić. Była pewną, że ją szczerze miłuje, a i sam już powiedział, że zaraz po Woskreszeniju wyprawi po nią swaty. Dla tego ciężko ścisnęło się jéj serce, i spojrzała przed siebie z obłąkaniem, z rozpaczą, i usiadłszy na ziemi gorzko w cichości zapłakała.

W tém z drugiéj strony wzgórza dał się słyszeć krzyk dzieci, i ucichł, i znowu: „jedzie! jedzie pan Zelman!" rozległo się roskosznie — wóz drabiniasty przetoczył się po drodze, ale to żydzi z innéj wsi. I tak było po kilka razy.

Nakoniec rozpoznano cztery tłuste gniadosze Zelmanowe, i samą jego brodatą wielemożność, ruszającą się za każdém strząśnieniem wozu, śród chmary żydów, żydowic i bachorów. Niesłychana radość obiegła po gromadzie; starzy chłopi zdejmowali mu z pozdrowieniem czapki, młodzi klęli zuchwale, kobiety ładowały swoje niecki i kubły — stary pop wyszedłszy ze swéj chałupy, przechodził się po cmentarku, a popajda wynosiła już próżne kosze, oczekując niemałego połowu.

Dzieci schwyciwszy się za ręce, skakały rozweselone, śpiewając głośną nutą:

„Jedzie Zelman, Zelmanowa, i cała rodzina!
„Jedzie, jedzie pan Zelman,
„Jedzie, jedzie wszystka Zelmanowa rodzina!"

Potém biegli przed jego pomieszkanie. Kilku gospodarzy weszło za nim do izby, targować się i prosić, aby już wydał klucze, bo im nie łża czekać tak długo na święcone. Zelman wyszedł natychmiast z bratem swoim, trzymając silnie w ręku dwa klucze od drzwi cerkiewnych, i przepraszając gromadę za spóźnienie, gdyż jak mówił, kobyła mu zasłabła, i ważne bardzo interesa zatrzymały w miasteczku; — i powoływał się na pana podstarościego, który też był na jarmarku.

— Szczoby ty łycha zjéł, i twij pes podstarosti, wy wsi szelmy trymajete sia za ruki na naszu bidu! — zawołał najbliżéj stojący Wasilko, zaciskając ze złością pięście i zwracając iskrzące oczy na Zelmana.

— Szczo ty howorysz Wasilu? — zapytał Zelman, drżąc ze strachu i złości — a potém zaszwargotał pod nosem kilka niezrozumiałych wyrazów.

— No i jakże?... pip czekajet pered cerkwoju, dawaj Zelmane klucze, i howori szczo hoczesz.

Zelman nie długo się targował; z wielkiém ich podziwieniem nie chciał on teraz żadnego datku, żądając tylko, ażeby mu nazajutrz młode krasawice wyprawiły dla zabawy taniec jaki, a potém grę łapankę, używaną już wówczas. Do trzech razy miała się powtórzyć ta igraszka, a jedna ze złapanych, którą sobie Zelman wybierze, powinna mu być oddaną, gdyż zobowiązał się podstarościemu, iż mu ładną dziewuchę dostawi na służbę, czy też dla ożenienia z nią jakiegoś mołodca ze dworu pana starosty.

Przystali na to od razu chłopi, lubo niektórzy, a szczególniéj Wasilek, oburzał się z gniewem; inni jednak śmiali się z tego. Wnet otworzone są drzwi cerkwi i długo oczekiwane odbyto poświęcenie — wszyscy na przegoń powracali do domów.

Nazajutrz drugiego dnia świąt popołudniu zebrała się przed arendą wszystka młodzież. Zelman w nowym żupanie i śpiczastéj bobrowéj czapce, z błyszczącemi od gęsiego smalcu pejsakami, wyszedł do nich z chytrém i ułożoném pozdrowieniem, muskając się po długiéj rudéj brodzie. Potém kazał wystawić zaprawionéj horyłki i łakotek żydowskich, dla okazania, ile jest hojnym i łaskawym w tym dniu.

I rozpoczęła się zabawa.

Z jednéj strony stanęło dwoje dziewcząt i wzięły się za ręce; z drugiéj, przeciwko nim, wszystkie inne uszykowały się wzdłuż jedna po za drugą. Dopiero zaczęły biegać w około pierwszych dwóch, jakby chcąc przebiedz pod ich rękoma wyciągniętemi do góry, próbując, z któréj im strony łatwiéj będzie znienacka przemknąć się pod tą zastawą.

Lecz wprzody, wszystkie razem zaśpiewały przeciągłą ruską nutą:

„Jedzie Zelman, Zelmanowa i cała rodzina!
Jedzie, jedzie pan Zelman,
Jedzie, jedzie wszystka Zelmanowa rodzina!...

Czego chce pan Zelman?
Czego chce pan jego brat?
Czego chce wszystka jego rodzina?!
Panny chce pan Zelman,
Panny chce wszystka Zelmanowa rodzina!

Jeszcze panna nie wstała,
Jeszcze wioneńka nie wwiła,
Jeszcze liczajka nie umyła,
I w kościele nie była. —
To nie dziękuje już pan Zelman za nią!

Jedzie, jedzie pan Zelman,
Jedzie, jedzie jego brat,
Jedzie, jedzie wszystka Zelmanowa rodzina!
Czego chce pan Zelman,
Czego chce wszystka jego rodzina?
Panny chce pan Zelman,
Panny chce wszystka Zelmanowa rodzina.
Już panna wstała,
Już wioneczek wwiła,
Już liczajko umyła,
I w kościele była. —
Już dziękuje pan Zelman,
Już dziękuje pan brat,
Już dziękuje wszystka Zelmanowa rodzina.

Tu przeleciały kilka razy, podzieliwszy się na dwie części, jedne z jednéj, a drugie z drugiéj strony — dwie najwyższe dziewczęta zostały złapanemi, reszta uciekła, przerywając zaporę.

I znowu zaśpiewano urywek jakiéjś pieśni:

„Nie ma króla w domu,
Pojechał do Lwowa!
Kata katować,
Brata ratować;
Po beczkę wina,
Po drugą piwa,
Po trzecią gorzołki,
Napawać pachołki!...
Jedź... pojedź!...
Jedź... pojedź!...“

I znowu zaczęła się łapanka; za trzecim razem została się Pałasia czarnobrewa.

— Chorosza! chorosza! ja na nią czekał! — zawoła z radością Zelman, klaskając głośno w dłonie — ja sobi Pałasiu wyberaju moi rabiatka; dajte im makagigi i kugla i horyłki z perciem, a ty Pałasiu idi zo mnoju do dwora do pana pidstarościego.

— Szczo ty stary rozbójniku howorysz? ty sobaczaja wiro Zelmane, ja tebe w śmert ubiju! — krzyknął Wasil, przyglądający się dotąd spokojnie zabawie młodych dziewcząt.

— No, ne serdysia Wasilu durzyj chame! jak ty śmijesz na arędara podnositi ruku? — mówił ze drżeniem Zelman, biorąc Pałaszkę, która wydzierała się całą siłą, wołając z rozpaczą na Wasila.

Wasil, chłop tęgi, za jedném uderzeniem obalił żyda na ziemię, potém schwyciwszy go za pejsy i szarpiąc bez litości, tłukł w plecy kolanami.

Na krzyk i jęki arędarza wybiega z chałupy cała jego rodzina, wyłażą z różnych kątów i dziur żydzi, rwetes i gwałt robi się niesłychany, młode parobki rzucają się do płota, porywając za koły; gdy nagle, od dworu, ukazał się pan podstarości, w pąsowym jasnym żupanie, z dubeltówką na plecach i z kilku sążnistymi drabami, hajdukami starosty. Na ten widok straszliwy wszyscy prawie uciekli; został tylko sam Wasyl, otoczony kupą ośmielonego już żydostwa, a porwany przez silnych trzech hamanów, zaprowadzony został do śpichlerza, okuty w dyby i zamknięty na tęgą kłódkę.

Na jęki i skargi mściwego arędarza udano się natychmiast po Pałaszkę. Sam Zelman prowadził ich do chaty, podburzając ciągle i szepcząc podstarościemu do ucha, iż nie będzie żałował hojnego podarunku i wszystkich na późniéj usług swoich, jeżeli tylko dziś jeszcze Pałaszka wydaną zostanie za hajduka Kiryła, a Wasil stu przynajmniéj kijami ukarany.

Tymczasem biedna dziewczyna, upadłszy na kolana przed obrazem P. Maryi Sokalskiéj, ze łzami i ciężką boleścią duszy modliła się za Wasyla, za matkę swoją, siostry i braci, opiece nieba ich polecając; i prosiła dla siebie o odwagę, o moc zniesienia tych udręczeń, które przeczuwała nieszczęśliwa — i tu jéj cała obrona, tam jéj cała nadzieja i pomoc... biedna dziewczyna!

W téj chwili zatrzymali się napastnicy przed chatą, z podstarościm hajduki, a Zelman zaperzony i wściekły piorunem wpada do izby. Biedna czarnobrewa krzyknęła na jego widok, zatulając oczy dłońmi, a duszą modląc Bogu; żyd ją porwał za włosy, wstrząsł silnie i klęczącą ciągnął z ziemi ku drzwiom — porwali ją, ponieśli rozbójnicy... a w chacie została cisza, i łzy nieszczęśliwéj!

Hajduk Kirył padł do nóg podstarościemu, prosząc, iżby go uwolnił od ożenienia się z Pałaszką, któréj niechce przymuszać, gdyż ona już pokochała Wasyla. W odpowiedzi został potężnie zbity, a miejsce jego obowiązał się zastąpić Fed'ko, fornal, pijak wierutny. Kirył zniknął z orszaku, uchodząc tajemnie od tyranów — tymczasem Zelman nalega i podburza.

I znowu wlekli, ciągnęli biedną Pałaszkę, przez wieś, do cerkwi.

A Zelman szedł zajuszony obok niéj, i szczypał ją, kopał nogą, ilekroć podstarości odwrócił głowę.

Stary pop czeka w komży ubrany przed ołtarkiem; Zelman pod gruszą na cmentarzu. Z oprawcami podstarości wszedł śmiało i z krzykiem do przybytku modlitwy, i Fed'ko wnet ukléka na stopniu, by do ślubu... niedźwiedzim ponurym śpiewem napróżno djak chce zagłuszyć jęczenia panny młodéj.

Nieszczęśliwa, spojrzała w obraz Maryi, z rozpaczą, z pomięszaniem, oczy były już suche, lecz dziwnie wywrócone... i krzyknęła, krzyknęła przeraźliwie, jakby tym głosem obłąkanym i tyranów swoich pokonać, i do Maryi, aż do saméj Maryi z modlitwą przedrzeć się chciała... a obraz, wiatrem tylko kołysany, poruszał się powoli i łyskał błyszczącém malowidłem!

Znowu przypadli do niéj, chcieli słowém łagodném, obietnicą, zniewolić do odmówienia przysięgi małżeńskiéj, do podania ręki Fed'kowi — lecz ona ich nie słucha, jęczy i błaga okrutników; podstarości ją schwycił i prowadzi przed popa... ale nie tu ślub dla niéj, dla niéj jedna jeszcze nadzieja... z rozpaczą wyrywa się z objęcia, i roztrzaskuje głowę o kamienny stopień ołtarzy....

Lecz jeszcze i na cmentarku drugie odprawią się zaślubiny!...

Podstarości ozięble kręci wąsy czerwone, i splunął tylko na posadzkę, wcisnął czapkę na uszy, kiedy drągami Wasyla i Kiryła ugodzony przy samém wyjściu, przewrócił się na wschodach... pan Zelman tańcuje już w powietrzu, i przebiera nogami, i wierci się niby w boruchach; bo mu węzeł pod gardłem głośno śpiewa o raju, i Mojżesza i Eliasza mu przypomina... a nad gruszą spłoszone kruki zakrakały do drogi!

Kirył z Wasylem przepadli Bóg wie gdzie, nikt już o nich nie słyszał; i tylko przez długi wiek od roku do roku w dzień każdéj Wielkiéjnocy, po krainie Czerwonéj-Rusi powtarza się zabawa **łapanka**, i brzmi pieśń o Zelmanie; a z pieśnią w młodych sercach gore gorzkie wspomnienie nad srogością ciemiężycieli!

Warszawa, 30. Listopada 1841.

Seweryn Sierpiński.

Nieco o mowie.

(Ciąg dalszy.)

Rozum jego zebrał te znamiona kwiatków: rzecz woniejąca, żółta, czerwona, pstra, i nazwał tę rzecz jakiemś dowolném imieniem. W mowie bowiem pierwéj istniały rodzajowe wyrazy, niżeli oznaczające każdą rzecz z osobna. U dzikiego syna przyrody róża nie była różą, jeno kwiatkiem; fiołek nie fiołkiem, jeno kwiatkiem, tak jak każde drzewo drzewem, łomnica i pagórek górą. Widoczniéj o téj prawdzie można się przekonać na dziecięciu poczynającém mówić. Sięgając po różę, woła słabym głosem: Jasio chce kwiatek; widząc potém tulipany, goździki lub żółty słonecznik, podobnie zawoła: Jasio chce kwiatek. W dziecięciu mamy w tym względzie żywy obraz poczynającéj mówić ludzkości.

Z czasem dopiero rozróżniał człowiek jedne rzeczy od drugich, przypatrzywszy się z blizka ich drobnym znamionom, i nazywał je szczegółowo. Potém dopiero wiedział on, co róża, a co fiołek, co wierzba, a co dąb, buk, sosna, grab — co pagorek, góra, dół, wądół, rów, przepaść, otchłań, jar itd. Lecz do tego potrzeba było wieków. Mowa łamała sobie drogę przez skały, manowce i lasy, jak rzeka torując sobie łożysko w pierwszych dniach swojego istnienia — jeżelibyśmy takowe przypuścili.

Wielom, którzy się nie zastanowili głębiéj nad istotą mowy, zdaje się, jakoby wykrzykniki (qua tales) były najpierwsze słowa wymówione usty dzikiego człowieka. Przyznaję, że człowiek krzyknął, jak sobie nogę na cierniu skaleczył, że wrzasnął, jak go drugi kamieniem ugodził; ale ten krzyk z powodu skaleczonéj nogi, i ten wrzask z powodu odebranéj od kamienia rany, nie pociągnął za sobą obudzenia myśli, aby się nad tym krzykiem jako oznaczeniem uczucia bólu zastanowiła — nie powstał w nim namysł, bo powstać nie mógł, ponieważ człowiek najpierwéj się uchem w przyrodę wpatrywał, a potém dopiero innemi zmysłami. Ten krzyk był zatem krzykiem czysto zwierzęcym, ale nie wykrzyknikiem w tém znaczeniu, jak my go dzisiaj pojmujemy. Z rzesztą utworzenie wykrzykników byłoby to za trudne zadanie dla syna przyrody, za górne oderwanie myśli, która się jeszcze w nim nie przebudziła.

Bo wglądnijmyż jeno w istotę wykrzykników, a przyznamy, że snadniéj było zacząć od słyszalnych rzeczowników, niżeli łatwych na pozór wykrzykników; owszem powiemy, że mowa ludzka nie mogła się zacząć wykrzyknikami.

Cóżto bowiem jest wykrzyknik? Wykrzyknik jako część mowy jestto słowo wyrażające uczucie bólu, radości, smutku, rozpaczy itd. z tą w nim utajoną myślą, że istota wymawiająca ten wykrzyknik **wie już** o swojém uczuciu jako przyczynie głosu wydobytego z piersi w formie wykrzyknika. Wykrzyknik zatém poprzedzała samowiedza uczucia, jakie człowiekiem lub dłuższy czas miotało, lub także chwilowo nim wstrząsło; — a zatém obudzona myśl. Gdy więc przed wykrzyknikiem myśl już obudzoną była, a pierwsze obudzenie myśli słowo utworzyło: wykrzyknik zatém nie był pierwszém słowem, i loicznie niem być nie mógł. Przyczyna bowiem wyprzedza skutek. Tutaj zaś wykrzyknik miał budzić myśl, która go zrodziła, co przecie jest niedorzecznością.

Nierównie śmieszniejsze jeszcze jest owo mniemanie, jakoby ludzie najpierwéj rozmawiali na migi — a dopiero potém, gdy migi na zupełne i dokładne wyrażenie się nie wystarczały, wynajdowali słowa; i tym sposobem niby miała powstać mowa. Mówienie migami równie jest mową, chociaż innego na pozor rodzaju, jak mowa słowna, słyszalna — przypuszcza zatém obudzenie myśli i powstanie namysłu zastanawiającego się nad znamionami podręcznych przedmiotów. Lecz dowiedliśmy wyżéj, że człowiek najpierwéj spółkował uchem z całą brzmiącą przyrodą, która początkowo na niego prawie wyłącznie działała. Dzikiemu zatém, chcącemu migami oznaczyć szmer bieżącéj wody, mimowolnie musiały brzmieć usta, naśladując mruczenie upływających nurtów. Głos zatém człowiek najpierwéj w swojéj mowie oddawał, głos jeno głosem odbijał. Mowa słyszalna, słowna, była tedy pierwéj, a przynajmniéj pojedyńcze słowa, niżeli najmniejszy mig. Bo jeżeliby i przy piewszém utworzoném słowie, oznaczającém szum wiatru, człowiek wspólnie i migiem ten szum oznaczał, przecież wymówienie słowa śród przysłuchującéj się wiatrom zadumy i powstania namysłu było zupełnie bez migów, które dopiero późniéj przy powtórnem wymawianiu słowa łączyły się z głosem człowieka, aby ten szum wiatru tém dobitniéj oznaczyć. Z czasem dopiero powstała i kształciła się mimika, aby przyjść w pomoc niedołężnemu jeszcze językowi, i objaśniać wyrzeczone słowa.

Słowo zatém poprzedzało koniecznie mig, bo myśl tworzyła mowę; w mowie zaś najpierwéj było słowo, wynikające z styczności życia człowieczego z przyrodą, i pierwszego słyszanego objawu myśli przedzierającéj swą twardą zmysłową skorupę dźwięcznym, brzmiącym, słyszalnym głosem, zatém słowem.

Lecz jakże ta myśl człowiecza, powie jaki zagorzały hierolog, ta twórczyni ludzkiéj mowy mogła urobić oderwane słowa, do których żadnego nawet najmniejszego zewnętrznego popędu nie miała? Jakimże sposobem powstały słowa: cnota, dobroć, męztwo, Bóg, wolność, umysł, świętość, sprawiedliwość itp. Na to zagadnienie łatwo odpowiedzieć. Myśl w człowieku raz z gnuśnéj obudzona drzemoty poczęła tworzyć i urabiać mowę, co znaczy: poczęła się urzeczywistniać w słowie, stwarzać siebie samą w przelotnym dźwięku głosowym. Myśl zaś jako wpływ bóstwa, bezwzględnie wziąwszy jest nieograniczoną, a zatém bez końca, dąży bowiem, ustawicznie do źródła najwyższéj doskonałości, z którego swój początek wzięła. W dążeniu jéj tedy nie ma widzialnego i pewnego końca, do któregoby tylko przyjść miała, i oprzec się o niego, jakby o nieprzybyte góry, bo natenczas nie byłaby myślą, skrą bóstwa czyli jego duchem ożywiającym nasze istnienie. Nie mogła zatém i nie może w pewnym zakresie tworzenia mowy stanąć, i nie postępować daléj, czemby swój początek boski zaprzeczyła. Podobnie jak materya ustawicznie ciąży do pośrodku światów, do jednego punktu: tak i myśl nasza ciąży bez przestanku do środka bóstwa, do źródła swojego powstania. A ponieważ już raz zaczęła się w słowie słyszalnie urzeczywistniać: więc w tém raz zaczętém dziele musi bez końca postępować do celu bezwarunkowéj doskonałości, i snuć z siebie saméj, z głębi swojéj istoty nieskończone pasmo ludzkiéj mowy, tworząc w niezmierzonéj okwitości ducha najrozmaitsze wyobrażenia, i onychże oznaczenie w słowie. Takimto sposobem tworzyła myśl najrozmaitsze wyrazy, i przyszła nakoniec do oderwanych wyobrażeń. Wtedy poznawała właściwie sama siebie, wchodziła w głąb swojéj istoty, i oznaczała to postępowanie swoje, albo uogólnione wyobrażenia wielu widomych rzeczy w jedno słowo stósownemi wyrazy. Ta już nam pokazuje sam mechanizm mowy, a osobliwie dokładne i wszechstronne rozpatrzenie się w źródłosłowie. I tak od pierwiastkowych rzeczowników oznaczających słyszalne, widzialne, woniejące, dotykalne, jedném słowém materyalne przedmioty powstawały odpowiedne przymiotniki; z przymiotników dopiéro na odwrót tworzyły się uogólnianiem myśli i podnoszeniem wielu zebranych przymiotów połączonych czy to z istotą ludzką, czy z jakimś innym przedmiotem do ideału oderwanego, samodzielnego pojęcia — oderwane rzeczowniki. Ich bytem bogaciła się mowa, ożywiała się coraz więcéj, tak, że powoli znowu z tych utworzonych już oderwanych rzeczowników powstawały znów inne oznaczające drugi stopień oderwania, bądźto złożone w różnych części mowy, bądźto późniéj jeszcze dowolnie prawie składane. Ku lepszemu objaśnieniu tego zdania niechaj posłużą następujące przykłady.*) Z rzeczowników gień czyli ogień, drzewo, piorun, kwiatek, woda, burza, osieł, koń, zwierzę, ptak, słowik, lew, sowa, mąż, kobieta, dziecię i t. d. powstawały, rozumie się według objawiającego się tu i owdzie d u c h a m o w y odpowiedne przymiotniki, jakoto: o-gnisty, drewniany, piorunowy, kwiecisty, wodny, wodnisty, burzliwy, ośli, koński, zwierzęcy, ptasi, słowiczy, lwi, sowi, męzki, kobiecy, dziecinny, dziecięcy i t. d. A z tych przymiotników dopiero tworzyły się oderwane rzeczowniki pierwszego stopnia, kończące

*) Spodziewamy się, że nikt tych przykładów nieweźmie za istotny wzór początkowéj mowy, mającéj zupełnie inne kształty i twardsze wyrazy.

się w słowiańskich językach na ost, osť, ość, w germańskich na heit, w starorzymskim na tas, a w noworomańskich podobnie do zakończenia pierwiastkowego. I tak np. w polskim języku, zwierzęcość, męzkość, kobiecość, dziecinność, młodość, płochość, mądrość, sprawiedliwość i t. p. są to rzeczowniki oderwane utworzone z przymiotników pierwéj przed niemi istniejących. Na ten sposób tworzyły się i inne, chociaż pierwiastki ich nie przechodziły koniecznie z rzeczownika w przymiotnika, a z przymiotnika znowu w rzeczownika; np. cny, cnotliwy, cnota, Bóg, boży, bóztwo, boskość, trwać, trwały, (trwa) trwanie, trwałość, wytrwały, wytrwałość, wytrwanie; ptak, ptasi, ptastwo, ród, rodny, rodowity, rodowitość, naród, narodowy, narodowość (narodność). Inne znowu zupełnie szczególnym sposobem wyjętym prawie z najgłębszych szczelin ducha mowy, np. u (= w = wie, wiem, wiedza) m(= m' = ja) wydało um; sie—u—mienie (według pierwszego wzoru) sumienie, najsztuczniéj i najgłębiéj w całéj Słowiańszczyznie utworzone i tak piękne słowa. Podobnie roz-um, u-mysł, umysłowość, z-mysł, zmysłowość, myśl, pomysł, myślenie, umysł i t. p. tysiączne wyrazy.

Myśl bowiem nieskończona w sobie, jak otchłanie ducha boskiego, nieskończenie także około mowy pracuje, i ustawicznie ją doskonali. Takto z myśli powstała i myślą wykształciła się mowa, i myślą kształcić się będzie bez końca.

Z tego, cośmy dotąd o powstaniu i kształceniu się mowy powiedzieli, każdy snadno pojmie, że ona jest myśl urzeczywistniona w słowie, w któréj duchowe czyli umysłowe życie tak pojedyńczego człowieka, jako też i całkowitych narodów spoczywa. Skutek musi odpowiadać przyczynie. Im doskonalsza zatém mowa jakiegoś narodu (co i o pojedyńczych osobnikach rzec można), tém większe jego wykształcenie, jego umysłowe życie — jego oświata. Słusznie tedy można oświatę ludu mierzyć według jego mowy; niezawodny to i najpewniejszy środek do rzetelnego poznania jego umysłowości. I znów naodwrót: naród dziki nie posiada pewnie pięknéj, wykształconéj mowy. To zagadnienie objaśniają należycie starożytne i nowoczesne dzieje. Izraelici stojący na niskim stopniu oświaty, jak cała ludzkość ówczesna, wydobywająca się ze stanu pierwotnéj dzikości, nie mieli należycie wykształconéj mowy, jaką się dzisiejsze ludy europejskie poszczycić mogą. Ubogi język hebrajski nie ma okwitéj ilości wyrazów, nie posiada wiele oderwanych słów, a te, które posiada, jakże się różnią od nowoczesnych języków. Ubogie spadkowanie, za pomocą przyimka, dwa tylko czasy obok hucznéj na pozór dziesięciorakiéj odmiany każdego niemal czasownika, szczupła ilość przymiotników, przysłowków, przyimków i spójników, — oto całe jego bogactwo. Widać w nim oczywiście, jak się łamie z trudnością, jeżeli coś opowiada, albo opiewa świetne czyny bohaterczych szoftim. Piękniejsze jednak wydał plony nad inne spółczesne języki, czego dowodem pieśń Debbory, psalmy Dawidowe i treny Jeremiasza, króla poezyi żydowskiéj. Jednakiéj prawie z nim cechy są spokrewnione języki wschodnie, które się jeszcze do dziś dnia utrzymały.

Wyższym nieporównanie blaskiem jaśniała oświata helleńska. Grecki lud był to rumiany młodzieniec ludzkości z wyjaśnioném czołem, błyskający okiem pełném wewnętrznego żaru w piękny obraz przyrody, i zatapiający się w głębokie bóstwa tajniki. Grecka mowa była dla tego odbiciem myśli młodzieńczego ludu, a dzisiaj jeszcze po tylu upłynionych wiekach, przy nierównie wyższym stopniu oświaty, wielbi cały ucywilizowany świat Homera, Herodota, Tucydyda, Sokratesa, Platona, Arystotelesa, i wielbić ich będzie na wieki.

Ażaliż i dzisiaj téj różnicy nie ma! Mieszkańcy puszcz afrykańskich, lasów Ameryki, dzikie Tatary i inne koczujące ludy azyatyckie nie mają pewnie tak wykształconéj mowy, jak oświecone ludy Europy. Że mowa w bagnie jednostajności gramolących się Chińczyków do polskiéj ani się umyła, mogę to rzec smiało, chociaż po chińsku nie umiem; a że perski język nie do porównania z niemieckim, jest więcéj jak pewne; chociażby dla empirków, którzyby się o tém naocznie przekonać chcieli, trzeba grammatycznych porównań i słowników indyjskich, chińskich, hottentockich i t. p. aby to ręką namacali.

O ciągłem kształceniu się mowy jako wypływie myśli przekonamy się łatwo, jeżeli rzucimy okiem na mowy europejskie, i przeglądniemy je od dziesiątego wieku, aż do naszych dni; do czego nie braknie piśmiennych zabytków. Wszystkie mowy w ogóle przechodziły dziwne metamorfozy, nim się w dzisiejszą suknię ubrały. Jakażto była niemczyzna nim powstali Schiller i Goethe? Jakże wyglądała francuzczyzna przed Ludwikiem XIV. i Encyklopedystami? Komuż niewiadomo, że angielski język ciągle się zmieniał jak barwy kameleona? I tak się działo ze wszystkiemi językami. My jednak nieco dłużéj zastanówmy się nad językiem polskim, w celu przypatrzenia się jego przeobrażaniom, jakie od kilku wieków przechodził.

Najstarsze pomniki piśmiennictwa polskiego w przekładzie psałterza Dawida pokazują nam, jaka była polszczyzna przy końcu XIII. i w drugiéj połowie XIV. wieku. Przytaczamy tu na dowód początek pierwszego psalmu z obudwóch psałterzów.

Z psałterza Małgorzaty.

1. *Blogoslawoni mosz, ien iest ne szedl po radze nemilosciwych, y na drodze grzesznich ne stal iest y na stolcu naglego spadnena ne sedzal iest.*

Ale w zacone boszem wola iego, y w zacone iego bodze myslicz we dne y w nocy.

A bodze iaco drzewo iesz szczepono iest podług czekocych wod, iesz owoc swóy da w swóy czas.

A list iego ne spadne y wszistko czsocoli uczini, przespeie. i t. d.

W niniejszym wyjątku z psałterza Małgorzaty widzimy jasno, jak polska mowa będąca równie jak jéj siostrzyce córą matki słowiańskiéj, kształciła się duchem własnego narodu, wziąwszy zapewne do tego najsilniejszy popęd od czasu utworzenia się Polski w ściślejsze ciało polityczne. Wyrabiała się mowa podług myśli rodzimęj, odsuwając się coraz bardziéj od pierwotnego wzoru, jeżelibyśmy ten przypuścili. Bo w saméj rzeczy i mowa starosłowiańska w epoce przedchrześciańskiéj nie miała i niemogła mieć jak każda mowa, jednakowéj cechy jednakowego typu, ale już, niech tak rzekę, od czasów swojego zarodu rozpromieniała się na różnoliczne odcienia, co właśnie z istoty mowy wynika.

Jeżeli zatém mówię, że polska mowa odsuwała się coraz bardziéj od pierwotnego wzoru, rozumiem to tak, iż postępowała coraz daléj na drodze dawno rozpoczętego kształcenia się, wynikłego z myśli jéj ludu, i otaczającéj ją zewnętrznéj miejscowości. Że dawniéj do czeskiéj podobniejszą była, o tém ani wątpić. W trzynastym zaś wieku posiadała już wybitne znaki swojéj rodowości, jakoto g, ą (ę) ł, miała już miękkie i niby miękkie spółgłoski ś, ć, dz, ż, rz, sz, szcz, chociaż to nie każdy w niedostatecznéj i wątpliwéj jeszcze pisowni zobaczy. Z czeszczyzną jednak wiązało ją ściśléj osobliwie czasowanie słowa w czasie przeszłym, które dzisiaj inną postać przybrało. I tak czasowano: sedzeł iesm, ies, iest, sedzali (sedzeli) sme, ste, so. Z czego potém powstało siedział-em, siedział-eś, siedział; siedzieliśmy, siedzieliście, siedzieli. W trzeciéj osobie słowo czasowe zupełnie zniknęło. W czesko-słowackim, i illirsko-serbskim języku do dziś dnia słowo czasowe na starodawny wzór się czasuje. — Tryb bezokoliczny już wtedy kończył się na ć, pisane cz. I tém się od reszty słowiańszczyzny wielce nasza oddaliła mowa; słowiańskie t, ty, ti, późniejsze ť zmiękczyła na ć, czego jeszcze do dziś dnia w żadnym innym pobratymczym języku (rozumie się w trybie bezokolicznym) nie ma, jako także zmiękczenia d na dź, wyjąwszy narzecze biało-ruskie, które za nieco dalszy odcień polszczyzny uważam, mimo innego apodyktycznego zawyrokowania kilku uczonych *). Przypatrzmy się teraz naszéj mowie w XIV. wieku.

Z psałterza Jadwigi.

1. *Blogoslawyony mosz yen nye szedl po radze nye myloszczywych, y na drodze grzesznych nye stal y na stolczu naglego spadnienia nye syedzal.*

Ale w zakonye bożem wolya yego y w zakonye yego będze myslycz we dnie i w nocy.

A będze yako drzewo, yesz szczepono yest podług czyekoczych wod yes owoc swoy da w czas swoy.

A y lyst yego nyespadnye y wszystko czokoly uczyny zdarzy szye itd.

Wielki atoli krok postępowy uczyniła mowa zmiękczając twarde spółgłoski, które jeszcze w psałterzu Małgorzaty niezmiękczone widzimy. I tak *w* na *ẃ*, *n* na *ń*, *s* na *ś*, zwłaszcza przed samogłoską e itd. np. W ps. Małg. czytamy: *blogosławoni, ne, spadnena, sedzał* itd. gdy w psalt. Jadw. już stoi: *blogoslawyony, nye, spadnyenya, szyedzal;* gdzie *y* jest oczywistym znakiem miękczenia. Większy zaś jeszcze postęp uczyniła mowa odrzucając słowo posiłkowe być od czasownika w czasie przeszłym. Zamiast *stal iest, sedzal iest,* czytamy w ps. Jadw. *stal, szyedzal* (zamiast *syedzal).* Taka sama polszczyzna XIV. wieku wyjąwszy nieco odmienną pisownię, zachowała nam się w książce do nabożeństwa Jadwigi znalezionéj r. 1823. w poznańskiém. Słodkito i rzewny język, jak p. Michał Wiszniewski powiada. Znakiém miękczenia jest także *y, cz* pisano miasto *c* lub *ć, th* miasto pojedyńczego *t, sch,* miasto *sz, y* powszechnie miasto *i; sz* miasto *s,* itp. Na dowód czego przytaczamy początek modlitwy do N. Panny.

Swyanta maria boża porodzycyelko naczyszczscha dzyewko: przez myloscz szyna thwego yedynaczka boga naschego Jesu Crista zewschemy szwyatymy i vybranymy bozymy Przydzy napomocz mnye: a racz proszysz za mna grzechnycza: Bo moya dvscha wdraczenyv położona yest y thy moy dvch myloszczywa obezrzysz wolayaczy kthobye vysluchay mye namyloszczywscha czyebye blogoszlawya wszyshky rodowye: Bo thobye vezynyl vyelkoscz genze (jenże) *moczen yest y szwyathe gymya* (imia) *yego itd.*

Każdy czytelnik snadno się domyśli, że *a* położone jest zamiast ą, np. w słowie wdraczenyv itp. co jedynie od piszącego zależało. Bo jeżeli w psałterzu Małgorzaty *ą* się znajduje, a zatem i tu znajdować się musi jako w późniejszym pomniku polskiéj mowy.

Zresztą mowa zupełnie jednaka z mową psałterza Jadwigi.

*) **Przynajmniéj takiém prawem, jakiém oni Białą i małą Ruś do Ruska liczą.**

Na takim stopniu wysokości stał nasz język w XIV. wieku.

Nastąpił wiek piętnasty — wiek istotnie wielki i nader ważny dla Polski, — z jego łona bowiem wylęgły się złote Zygmuntowskie czasy, prawdziwe słońce dla naszéj krainy. Z tego jednak wieku prócz kancyonału Przeworszczyka żadnych prawie nie mamy piśmiennych polskich zabytków.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencye z Galicyi.

1. Lipca 1843.

z X. No. 1.

Szanowny ziomku!

Piśmiennictwo nasze dotknął na nowo cios nader bolesny. Utraciło ono jednego z najgorliwszych i najsposobniejszych swoich pracowników. Ośmnastego Czerwca roku bież. rozstał się z tym światem Józef Dunin-Borkowski w 33cim roku życia. Niebyło w całéj Polszcze i niemaż dotąd człowieka, któryby z równém uzdolnieniem, z równymi wiadomościami oddawał się temu, co on zawodowi. A odkąd nauka, języków i literatur klasycznych podupadła, odkąd znakomite nawet talenta dla lekkiéj sławy stronią od pracy mozolnéj, niemasz nadziei ażeby prędko znalazł się drugi, któryby nam tę stratę umiał nagrodzić. Oddany od lat młodzieńczych nauce wschodnich języków w kilku z nich wielkiéj nabył biegłości, staro- i nowogrecki zaś posiadał doskonale; sami uczeni greccy liczyli go do najznakomitszych hellenistów europejskich. Kiedy jeszcze w początkach obranego przez siebie zawodu przełożył na własny użytek dzieje literatury nowo-greckiéj Rizos'a Nerulos'a, to już w parę lat poszukiwań następnych doszedł nowych źródeł i zapasów historycznych, jakiemiby mógł pomnożyć wiadomości uczonego Greka o większą prawie połowę. Przeto zabrał się z tymi środkami do zbadania i krytycznego rozbioru umysłowych bogactw Greków starożytnych i do wyczerpania dokładnych dziejów nowoczesnego ich piśmiennictwa. A że wszystkie prace i wiadomości swoje chciał przedewszystkim sercem wylanem dla narodu odnosić do rzeczy ojczystych, zatém wytknięcie i ocenienie uprawy greczyzny w Polszcze było najpierwszém jego zajęciem. W tych obydwóch przedmiotach uzbierał i nagromadził olbrzymie materiały nieocenionéj wartości, tak pod względem trudów i erudycyi w ich znalezieniu, jako też pod względem trafności sądu, postrzeżeń i uwag. Prócz tego zostawił liczne przekłady z najcelniejszych greckich pisarzy i wiele własnych poezyi odznaczających się obok głębokości pomysłów zapałem, lotnością i piękném oddaniem. Brat jego Leszek trudni się obecnie uporządkowaniem pozostałych rękopisów. Jestto powszechném życzeniem, aby je wydał jak najprędzéj.

z X. No. 2.

Uwagi nad literaturą w Galicyi umieszczane w piśmie waszém roku zeszłego, zrobiły przecież swój skutek; cenzura galicyjska stała się przecież umiarkowańszą. — Z tego zapatrując się na pismo wasze stanowiska, nie może zaprzeć nawet nieprzyjaciel, a sprawiedliwsza potomność uzna z oklaskiem, że ono przyczyniło się stanowczo do postępów oświaty w Galicyi, do rozbudzenia w niéj czynniejszego życia literackiego i zjednania mu swobodniejszego powietrza. Tego rodzaju wpływy dobroczynne są lepszym dowodem, że Tygodnik jest postępowym, jak wszystkie pochwały i deklamacye, których już dożył i jeszcze dożyje. Gazeta Lwowska od dawna już żadnego znaku życia niedająca, poczuła przecież burzącą się żółć w wnętrznościach swoich i wzdrygnęła się, jak uśpiony letargiem, kiedy mu łytki rozpaloném żelazem popieką. — Silny to musiał być galwanizm, który takiego nieboszczyka poruszył. Ale że vana est sine viribus ira przeto niewzniosła się nad szumowiny twierdzeń, że wydawcy pism czasowych w Poznaniu, Warszawie i Wilnie są bez własnego zdania i sensu (Nr. 71.) nie znający się na literaturze naszéj i jéj stósunkach w różnych prowincyach, nie umiejący złego od dobrego rozróżnić, przyjmujący zatém wszystko co, im kto, jak wolanta dorzuci. Rozgniewało zapewne zabawną gazetę, że jéj dorzucania nie mogły tak daleko dolecić i spadły zawsze upadkiem Ikara, to jest własny nos rozbijając. Ależ bo na niedorzecznościach poznają się już i w Pekinie i w Kalkucie, nie tylko w Warszawie, Poznaniu i Wilnie. — Jedynchby tylko jeszcze czytelników téj gazety policzyć można do owych głębokich mieszkańców niebieskiego państwa, którzy na niczém się nie poznają i opinię dopiéro co narzuconą, mają za własną. — Gazeta Lwowska służąc widokom protektorów swoich, nawykła wzywać ich opieki i wsparcia rozsiewając zdania narodowi szkodliwe; nie zrobiono kroku żadnego bez mocnego poplecznika, któryby gotów był przekonywające jéj twierdzenia popierać pięściami. — Usilnością jéj jest przerobić publiczność całą w ciemną, aby jednooki mógł być królem, jak mówi przysłowie. Wołą zatém: zachęcajcie i protegujcie młode talenta, to jest mnie. Ależ bo to jest talent, w który wierzyć trzeba, bo tak każe inkwizycya. Wybornie dałaby się tu zastósować następująca powiastka:

Dość jednego oka.

Ubitym już idąc torem,
Został osieł redaktorem.
I ogromna chęć w nim wzrosła
Posadzić młodszego osła,
Ażeby klepał nowinki.
Nie bierzcie tego za drwinki;
Albo bierzcie zaco chcecie,
Dość że się wiodło gazecie;
Bo znalazła czytelniki,
Nawykłe do téj muzyki
Oślego ryku i kwiku,
Bez przestanku i bez liku.
Na te brednie i mitręgi
Patrzył z góry znawca tęgi,
Jedném jak opatrzność okiem.
A że ciurów miał pod bokiem,
Chwalił śmiało, klaskał w dłonie:
To mi dzielność, to mi konie.
W tym publiczne głosy wniosły:
To nie konie, ale osły:
Kto zaprzecza, z tym do kozy!
Krzyknął władzca pełen grozy:
To są konie! — Patrzcież państwo,
Przyznało całe poddaństwo. —
A protektor rzekł ochoczy:
„Na cóż tu mieć obie oczy?“

†

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*